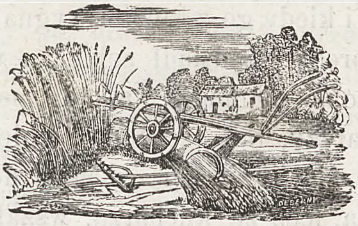
Tom II. 21. Października 1870. Nr. 12.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marcin Wrona.

Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą.

W jednej wiosce nad Sanem żył ubogi flisak Maciej Wrona, a miał tylko jednego syna Marcinka, wielkiego niezdarę i próżniaka. Maciej odumarł Marcinka w młodym wieku i nic mu nie pozostawił, bo był bardzo ubogi. Chcieli gospodarze przez litość nad sierotą wziąć Marcinka za swego, lecz ten nigdzie miejsca nie zagrzał, bo mu praca ciężyła, zwykle jeszcze okradał swoich dobrodziejów i wędrował od wsi do wsi i szukał miejsca, gdzieby za darmo jeść dawali. Lecz że to darmojad na wsi się nie uchowa, to też Marcinek wędrował ciągle i do kradzieży się zaprawiał, aż w końcu zapatrzył się na dworskich próżniaków i wcisnął się do jednego dworu za kuchtę, bo już to tam i praca nie tak ciężka, i zawsze coś, jak mu się zdawało, ukraść się uda. Lecz i tutaj nie zagrzał miejsca, boć go w krótkim czasie kucharz kilkakroć na oszukaństwie złapał, a że był człowiekiem rzetelnym i nabożnym, wielce od wszystkich szanowanym, któremu nawet sam pan wszystko powierzał i zaufał, to też nie cierpiał Marcinka długo, lecz wkrótce go napędził. Przypatrzył się tu Marcinek sprawkom dworaków, jak swego pana oszukiwali, dobrze jedli i pili, a mało co robili, lecz że to byli znani hultaje, a pan znał się na ich sprawkach, rzadko im się co udało, a często gęsto wypisywał ekonom

harapem napomnienia pańskie na ich grzbietach. Nie podobało się to Marcinkowi, i kiedy go z kuchni wygnali, nie czekał długo, lecz uciekł czem prędzej i usiadł sobie za wsią pod drzewem, przeliczył nakradzione pieniądze, a gdy poznał, że mu tych nie na długo wystarczy, tak rzekł do siebie:

— Trzeba mi się koniecznie dostać do drugiego dworu ale nie za kuchcika, lecz za kucharza, wszak już umiem nieźle gotować, tam będę mógł więcej co uskubnąć.

Chodził tedy od dworu do dworu i pytał, czy nie potrzebują gdzie kucharza. Trafił nareszcie, że gdzieś potrzebowali kucharza i przyjęli Marcinka. Tu potrafił on w krótkim czasie wkręcić się w łaskę pańską Był to bowiem pan dobry, lecz bardzo łatwowierny. Poznal to od razu Marcinek i nuż nadskakiwać, oskarzać drugich, że pana oszukują, wszędzie się wcisnął i podsłuchiwał, a gdy którego z dworaków na jakiem oszustwie złapał, to go wziął na stronę a powiedział mu w cztery oczy, że jeżeli się z nim podzieli albo sowicie okupi, to go nie oskarzy. Tym sposobem zbijał pieniądze z krzywdą swego pana, który go miał za najwierniejszego i wszystko mu powierzył i nad wszystkiemi nadzór oddał. Bo też Marcinek umiał udawać poczciwego, i co dzień do kościoła chodził, i w domu często się modlił, by go wszyscy widzieli i na rzetelność swoją duszę i ciało zaklinał, co tydzień się spowiadał, a kiedy się dobrze objadł mięsa pokryjomu, wychwalał się, że na różne intencje po całych dniach suszy. Nie źle też na tem wychodził.

Była tam we dworze dziewka stajenna, Zośka, wielka ladaco, lecz bardzo przebiegła. Otoż to ona jednego dnia, gdy wszyscy wyszli do roboty, wylazła na przypiecek i wygodnie się tam wylęgała, a kucharz nie wiedział o tem i wyjął z pod kuchni cegłę, dobył ztamtąd skarb swój nakradziony, tamże w dziurze przechowany i nuż go przeliczać. Zośka kiedy usłyszała brzęk pieniędzy ciekawa temu z po za pieca się przypatruje. Przeliczył Marcinek pieniądze a miał ich już sporo, i zawołał z radości: „O nie będziesz długo głupim Marcinkiem, widać żeś stworzon na pana, boć masz pańską głowę, rób tak dalej a niezadługo wypędzisz pana swego, a sam na tem miejscu osiędziesz Byle tylko jeszcze tak z lat kilka się udawało, to się ożenisz z pierwszą dziedziczką a zostaniesz dziedzicem nielada“!

— Podobała się Zośce taka mowa Marcinka. Zaczaiła się tem bardziej by jej Marcin nie dostrzegł, a ten spakował pieniędzy do worka, włożył go znowu do dziury pod kuchnią, cegłą otwór zakrył, zalepił i obielił, że i śladu nie było.

— „Mądryś ty lecz ja mądrzejsza! zawołała Zośka, i ledwie Marcin wyszedł z kuchni na gumno by znowu co wyszpiegować lub ukraść, zlazła czemprędzej z pieca, odwaliła cegłę, wyjęła worek, założyła cegłę napowrót, zalepiła, zabieliła, a worek do ogrodu wyniesła i tam go w grzędzie między fasolą zakopała. Niedługo powrócił Marcin i spojrzał z ukosa na swój skarb ukryty i widział miejsce czyste zabielone i niczego się nie domyślił.

Odtąd Zośka niecnota poczęła się mizdrzyć do Marcina, bo już miala pieniądze, lecz nie wiedziała jak sobie z niemi począć by jej nie odebrali i jeszcze za kradzież nie ukarali. Czekała więc cierpliwie i nikomu nic o tem nie rzekła. Aż tu po niejakim czasie chce Marcin nowy transport skradzionych i nachowanych pieniędzy dodać do dawnych i kiedy wszyscy wyszli z domu do roboty w pole a pan gdzieś w sąsiedztwo wyjechał, wyjął znowu też cegłę, a kiedy ujrzał miejsce próżne a w niem ni worka ni pieniędzy, zaryczał jak niedźwiedź z boleści i padł jak długi na ziemię.

Gdy ludzie pod wieczór z pola powrócili i weszli do kuchni na wieczerzę, ujrzeli tam Marcina omdlałego na ziemi. Poczęli go cucić i wodą zlewać, aż Marcin otworzył oczy, ale kiedy ujrzał tylko próżną dziurę, zaryczał znowu jak źwierz dziki, porwał się jak wściekły i wybiegł za obejście dworskie i gonił a gonił, a taki był straszny, a tak wył okropnie, że ludzie we wsi zdaleka odeń uciekali wołając: latawiec! latawiec!

Pod wieczór kiedy mu wiatr chłodny mózgownicę ostudził, powrócił do domu, zbladł i zsiniał ze złości i żalu, oczy mu wgłąb zapadły, a nawet nie śmiał nikomu prawdy wyjawić, że mu nakradziony skarb złodzieje wykradli i zmyślać musiał różne dziwy. Lito ali się jednak nad nim, choć go wszyscy nienawidzili, a stare baby powtarzały, że to za jakieś dawniejsze grzechy zsyła Bóg teraz kary.

*

Tylko Zośka ze wszystkich się śmiała i swoje knuła. — Minął już czas dość długi, a Marcinowi nie zapomnieć o swoim skarbie, nie mógł ni jeść, ni pracować, włóczył się jak cień po wróżkach i wróżbitach, i co jeszcze miał to i to na nich wytracił, a nikt mu o skarbie nic nie powiedział.

I znowu tak się stało razu jednego, że nie było nikogo w domu. Siedział Marcin podparty w kuchni i przemyśliwał jakby to najprędzej dojść do drugiego takiego skarbu, wtem Zośka co to dawnym zwyczajem przeciągała się leniwo na przypiecku, poczęła umyślnie silnie chrapać, jakby ją mara jaka dusiła. Obudził się Marcin ze swojej zadumki, począł wymyślać Zośkę i już się brał do kija, by ją tęgo zokładać, kiedy w tej chwili Zośka rzuca się przed nim na kolana i nuż ręce przed nim składać, a błagać, by jej pożyczył pieniędzy na stawkę, gdyż właśnie w tej chwili miała sen dobry, że się jej nieboszczka matka ukazała i zlitowała się nad jej niedolą i powiedziała trzy numera, które z pewnością tego ciągnienia wyjdą na loterji. Zaiskrzyły się Marcinowi oczy z radości i nuż w targ z Zośką o numera, lecz ta mu rzekła, że jej matka zabroniła, by nikomu nie wyjawiła przed ciągnieniem, bo nie wyjdą, a kiedy jeszcze obiecała że mu nietylko stawkę powróci, ale i połową się z nim podzieli, dał jej Marcin pieniędzy na stawkę a Zośka jak oparzona pobiegła do miasta. W dzień przed ciągnieniem wydobyła worek zakopany z grzędy, schowała go dobrze przy sobie i znowu poszła do miasta Tam u żydów faktorów wymieniła je na inne pieniądze, a to dla tego, by Marcin przypadkiem swoich nie poznał. Biegnie teraz do dworu ze sporą jeszcze sumą i woła na wszystkich, że już panią bogatą, że wygrała wiele pieniędzy i złożyła takowe u pana swego, by jej kto nie ukradł. Od tego czasu chłopcy się koło Zośki gracko zwijali gdy poczuli, że ma pieniądze i każdy ją chciał wziąść za żonę, lecz Marcin także nie zasypiał gruszek w popiele, boć poznał, że Zośka niegłupia, ma dobre sny i sporo pieniędzy. Otóż jak jej zaczął przedstawiać, że za chłopem źle jej będzie, że ciężko pracować musi i pieniądze straci, wymógł na niej, czego ona już od dawna sama chciała, że przyrzekła być jego żoną. Poszli tedy oboje do pana, wolę mu swoją wyjawili, pan pozwolił i pobłogosławił

i do trzech tygodni była Zośka żoną Marcina. Teraz to we dwoje poczęli okpiwać i oszukiwać pana swego dobrego, jak długo co jeszcze było, a kiedy widzieli, że pan ich już schodzi na dziada, wynieśli się oboje do miasta, bo tam łatwiej z pieniądzmi szachrować i nie tak ciężko pracować potrzeba.

Tu przebrał Marcin Zośkę swoją w suknie jedwabne i drogie pierścienie jej kupił, sam się przebrał w surduty pańskim krojem robione i futra drogie a nad niczem nie przymyśliwał, tylko aby to znowu wygrać na loterji i żeby to się znowu wkręcić do jakiego bogatego hrabiego za kucharza, którego by też można dobrze podoić jak sam do siebie mówił. Obiecał żydom faktorom hojnie zapłacić, by mu takiego pana nastręczyli, i niedługo dostał się do starego hrabiego, bardzo majętnego wdowca, a że umiał wyłudzić od dawnego pana swego bardzo dobre świadectwo, i udawał nabożnisia, zamydlił oczy staremu hrabiemu, że mu ten wkrótce powierzył rachunki i całe swoje gospodarstwo. Marcin wypłacał drugim sługom strawne i zasługi, przyjmował i oddalał ze służby, i na kuchnię sam wszystko kupował, kiedy pan gdzie wyjechał, wtedy Marcin gospodarował całym domem a tak się tęgo w rachunkach pilnował, że choć kradł i obdzierał pana i sługi na wszystkie strony, nikt go podejść nie mógł.

Nie dosyć mu na tem, ale i w loterję grał zapamiętale. Zośka lekkoduch, aby nie pracować, ciągle się wylęgała na pierzynach i poduszkach w łóżku politerowanem i mówiła, iż to robi jeno z namysłu aby miała czas i sposobność wyśnić znowu numera na loterję.

Marcin jej też tego spania nie wzbraniał i owszem do łóżka ją napędzał, i tam jej jeść przynosił, i czuwał by jej kto snu nie przerwał, a kiedy się rano oboje przebudzili, miasto Boga pochwalić i podziękować za szczęśliwie noc przespaną, Marcin tylko pytał Zośkę jakie się jej numera przyśniły. Opowiadała mu Zośka sny, niestworzone rzeczy, bo przy naładowanym żołądku nawet i sny głowy się nie czepiają a Marcin zaraz do senników, których sobie pełno był nakupił, i z nich tylko co rana się modlił, numera ze snów układał, i czem prędzej spieszył do kościoła i tłukł przed obrazem cudownym o ziemię czołem, że aż kamienie pękały a mełł gębą pacierze,

że się aż czupryna trzęsła a tylko o to pana Boga prosił, by terno wygrał. A że to taka modlitwa Bogu nieprzyjemna, to też i Marcin nie wytłukł czołem z kamienia żadnego t e r n a, ba nawet nigdy a m b a nie wygrał, bo Bóg się zachłannym brzydzi, a sny ci nic nie pomogą jeżeli ci Bóg nie poszczęści, bo stara to przypowieść ale prawdziwa:

„*Sen mara, Bóg wiara.*“

Jak długo Marcin spokojnie siedział i oszukiwał pana swego, jakoś mu to uchodziło, ale kiedy się począł pieniać, na loterję ogromną moc pieniędzy wydawać, dotego więcej swoich procesów niż służby pilnować, poznał się pan na ptaszku i dowiedział, zkąd on nato bierze pieniędzy, a że nie chciał mieć w domu oszusta, procesnika i loternika, ze służby go napędził. Pobiegł Marcin do pismaków i nuż procesować pana za różne niesłuszne pretensye. Proces trwał długo, bo nieuczciwy pisarz łudził ciągle Marcina i zabierał od niego dużo pieniędzy, Marcin bez służby przeszło dwa lata chodził tylko za procesem i za loteryą, i tak w krótce źle nabyty majątek utracił, że niebyło już co na loterię postawić. Rozpacz go opanowała. Zośka go już dawno porzuciła i powlokła się za jakimś dworakiem na wstyd i ohydę, byle tylko niepracować. Wtem utrapieniu biegnie Marcin dawnym zwyczajem do kościoła, klęka przed cudownym obrazem, który już tyle razy sprosnością swą obraził, gdyż więcej do sztuczek czartowskich się udawał niż do Boga. Otoż mu teraz diabel podszepnął, by zdjął srebrne wota z obrazu Matki Boskiej, co je ludzie za różne łaski i dobrodziejstwa ofiarowali, przemienił to ze złodziejami na pieniędzy postawił ne loterję i pisarzowi pokatnemu gardło zatkał, by procesował pana. Zrobił to nieuczciwy Marcin. Polowę wziął pisarz pokątny a drugą polowę przegrał na loterji. Odtąd już się cienia swego lękał, a gdy się wkrótce dowiedział że nań mają podejrzenie, jakoby nie kto inny, tylko on obraz okradł i już za nim szukają, uciekł nocą z miasta i gonił jak utrapieniec sam nie wiedząc dokąd. Wszędzie go mara zbrodni trapiła i nigdzie nieczuł się bezpiecznym, aż wygłodniały zakradł się nocą do cudzej komory, lecz nie wiele tam znalazł bo gospodarz, ubogi na przednowku nic w niej niemiał prócz podartej opończy. Ta najbardziej przydała się Marcinowi, boć koniecznie mu było

przebrać się, gdyż już za nim wszędzie szukali i listy rozpisali. Przebrał się Marcin w tę opończę, zapuścił brodę i nuż dalej po żebrach, ale iż był zdrów i nie stary, rzadko wyżebrał litości u ludzi. Tak przebył Marcin w największej nędzy rok cały a mara zbrodni i strach przed karą nigdy go nieopuszczały, a że to mu nigdy niebrakło głowy do wykrętów otóż i teraz począł udawać głuchego i niemego, by u ludzi więcej wyłudzić jałmużny.

Tak stoi pewnego razu przed kościołem, w obcem jakimś mieście, i nuż bełkotać, niemego udawać, aż tu nadchodzi jakiś człowiek, który nie tak łatwo dał się lada komu okpić i zaraz mu wpadł Marcin w podejrzenie. Wziął się tedy do niego na sztukę, dał mu sporą jałmużnę z bardzo litościwą miną i ubolewał na biednym kaleką. Nabrał nasz Marcin do niego więcej otuchy, w myśli że od głupiego da się jeszcze więcej wynęcić i począł okropnie bełkotać i na uszy pokazywać, że głuchy, a ów człowiek dołożył mu jeszcze jałmużny i z litościwą miną spytał:

— Czy wy dziadku niebogo od urodzenia głuchy i niemy czy może od jakiego przypadku?

Zapomniał nieborak Marcin że głusi nie słyszą a niemi nie mówią i prędko odrzekł:

— „Oj! Panie dobry! już będzie rok temu jak jestem niemym i głuchym.“

Natychmiast ujął go ów człowiek i odstawił do magistratu, gdzie Marcin znowu oniemiał i ogłuchł, aż mu musieli kijem rozwiązać na nowo i słuch i język i pod kijem już słyszał wszystkie zapytania sędziego, i wyśpiewał gracko, zkąd rodem, co za jeden i jak się zowie. Natychmiast poznali w nim ptaszka, za którym już mieli pisanie i od roku za nim szukali, lecz niemogli poznać by taki frant ukrywał się pod suknią ubogiego żebraka kaleki. Odstawili go natychmiast do sądu, gdzie Marcina za świętokradztwo na długie skazali więzienie, w którem dotychczas siedzi, i w kajdanach o chlebie i wodzie ciężką za swą zbrodnię odbywa pokutę.

A nieszczęścia tego przyczyną była zachłanność pieniędzy, gra w loterję niepohamowana i procesa niesłuszne.

Szczęsny z Żółkwi.

Bezdzietni

I.

Był sobie dziad i baba
Od dawien-dawna w gaju ponad stawem
Ustronnie w futorku mieszkali,
Jak dziatek dwoje
Wszędzie oboje.

W dziecinstwie razem jagnięta pasali,
A potem pobrali się,
Dobytku doczekali się:
Kupili futor, staw i młyn
Ogródek w gaju założyli
Pasiekę sporą zgromadzili —
Wszystkiego mieli w bród,
Lecz Bóg nie obdarzył dziatkami,
A tutaj śmierć śmierć za plecami.

Któż na starość ich przygarnie,
Pocieszy, usłuży?
Kto zapłacze, kto pochowa?
Kto wspomni o duszy?
Kto poczciwie odziedziczy dobro przysporzone?
Kto ich wspomni słowem wdzięcznem
Jak dziecko rodzone? —
Ciężko dzieci pielęgnować w ubożuchnych chatach,
Ale stokroć gorzej starzeć w bogatych komnatach —
Starzeć, starzeć i umierać
I porzucać mienie
Ludziom obcym, obcym dzieciom
Na śmiech i strwonienie.

T ar. Szew. tł. L. *S.*

Starożytne monety.

Często się zdarza, że rolnicy przy oraniu ziemi znachodzą dawne monety (pieniążki) lub inne podobne starożytności. Pochodzą one zwykle z dawnych czasów, gdzie to nasza kraina najeżdżaną przez nieprzyjaciół kraju: Tatarów, Turków, Wołochów, Szwedów i Moskalów. Wtedy to nie jeden zamożny człowiek obawiając się wroga, chował przed nim w ziemię, co tylko miał kosztownego. Gdy został przy życiu, to

wydobył swój skarb zakopany; jeżeli zginął, to skarb pozostał w ziemi na zawsze. Najazdy wrogów na Ruś i Polskę, były bardzo częste i niszczące: palili oni i niszczyli wsie i miasta, a ludzi mordowali albo pędzili w jassyr (w niewolę); to też znajdują się w ziemi dotychczas skarby, o jakich nikt jeszcze niezamarzył. I cóż się dzieje, gdy kto takowe znajdzie? Oto idzie do żyda i sprzedaje ukradkiem, myśląc że mu ktoś odbierze. — Wydane w tej mierze rozporządzenie rządowe wyraźnie orzeka, że znalazca dawnych monet lub innych starożytnych rzeczy jest ich właścicielem; obowiązany jednak donieść o tem władzy, która rozpatrzy, czy nie ma jakiej szczególnej osobliwości, wartej przechowania w muzeach (zbiorach) narodowych. Gdy opatrzy takowe, to bierze sztukę albo dwie i to często za wynagrodzeniem, a resztę oddaje znalazcy jako właścicielowi.

Pamiętajcież kochani czytelnicy, nie marnować takich starożytnych rzeczy, gdy się wam takowe wyorać albo wykopać zdarzy, nieraz znaleziony zardzewiały szeląg ma znakomitą wartość, a wy zbywacie go żydowi za krajcar albo za darmo.



Figura 1.



Figura 2.

Przedstawiam wam tu narysowane dwie monety, jakie przed kilku laty znaleziono nad Dniestrem. Pierwsza pod Fig. 1 jest moneta turecka oddana rysunkiem z obu stron, a druga Fig. 2. moneta litewska. Obie są miedziane, mocno zardzewiałe i ktośby myślał, że bez wszelkiej wartości; a przecie znalazca dostał za nie od pownego pana jako znawcy 1 złr. Ostatnia jakkolwiek nieforemna, jest wielkiej cenności, bo rzadka a raczej nieznana.

Niemniej byłoby chwalebnem, gdybyście kochani ziomkowie nabyli zamiłowania, takie starożytne monety szanując je od zagłady, zachowywać po sztuce jako osobliwość. Nasi pobratymcy Serbowie mają każdy po kilka i kilkanaście sztuk monety jako pamiątkę czasów minionych, których nie pozbyliby za żadną cenę. — A jak u nas? Krocie tysięcy znaleziono już rozmaitych monet; a czy jest jedna przechowana we wsi? Wszystko przetopili poczciwi żydkowie.

Znalazłszy większą ilość pieniążków, wybierz sobie bracie kilka sztuk na pamiątkę, a resztę sprzedaj świadomie, aby cię nikt nie oszukał, przyczem westchnij do Boga za spokój duszy tego, do kogo one kiedyś należały.

Y....

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Gospodarstwo w trzy pola a w sześć pól.

Nie łatwo gdzie znajdzie ziemię tak urodzajną jak nasza polska ziemia, nasze role nad Wisłą, Dniestrem, nasz czarnoziem na Podolu i Pokuciu sławne daleko i szeroko po całym świecie. A przecież Niemcy na swoich piaskach mają pszenicę plenną i gęstą jak las, a żyto rosłe, że się weń człowiek schowa, mleczne krowy, silne konie, a obejścia tak schludne i porządne, że u nas to nieraz i dziedzic takich niema. — Może się zapytacie dlaczego u nas gorzej jak u Niemców, odpowiedź nietrudna. Za granicą chłop od rana do nocy zapobiega, pracuje, stara się, dopytuje, jakby tu poprawić swoje gospodarstwo i czyta książki, co to piszą o tem jak rolę sprawiać, to też ma ładny urodzaj i piękne bydło, a nieraz w skrzyni po kilkaset albo kilka tysięcy talarów. — A u nas pożal się Bogu! Niech tylko Pan Bóg da urodzaj na ziemniaki, a już trudno dostać robotnika, każdy woli wysypiać się na przypiecku, albo jeździć po targach i jarmarkach, jak wyjść za zarobkiem. O tem, żeby poprawić i udoskonalić gospodarstwo, to już chyba nikt nie myśli. — „Mój dziad i mój ojciec tak gospodarowali, a dobrze im było i głodu nie zaznali to i ja nie chcę nowości zaprowadzać,“ tak odpowiadają nasi gospodarze, kiedy im kto radzi, żeby zaczęli inaczej ziemię uprawiać. Zapominają o tem, że przed stu albo pięćdziesięciu laty ledwie w połowie tyle ludzi było jak dziś, że dlatego koło tej ziemi dziś dwa razy tak pilnie chodzić trzeba jak dawniej, aby wszystkich wyżywiła i okryła, aby nikt nie cierpiał głodu i chłodu.

Niemcy więcej pracują i lepiej rolę uprawiają, to też lepsze mają urodzaje, choć gorszą ziemię. — Byłem ci ja między Niemcami i przypatrzyłem się ich gospodarstwu, a teraz was panowie gospodarze proszę, byście mnie posłuchali,

może się wam spodoba co napiszę i co poradzę Daj Boże aby pisanie moje wyszło wam na pożytek i pomnożyło wasz majątek.

Dotychczas wszyscy prawie gospodarze dzielili grunt swój na trzy części. Na jednej siali oziminę, na drugiej jarzynę, a na trzeciej w połowie groch w połowie zostawiali ją ugorem. Gospodarstwo takie nazywano trzypolowem, albo poprostu trzypolówką. Dajmy nato, że gospodarz miał sześć morgów roli, w takim razie dwa morgi zasiewał żytem albo pszenicą (oziminą), dwa morgi jęczmieniem albo owsem (jarzyną), jeden morg szedł pod groch, a jeden leżał ugorem. Na drugi rok tam gdzie był groch i ugor przychodziła ozimina, gdzie ozimina siał jarzynę, wreszcie te dwa morgi gdzie była jarzyna dzielił na dwie części, na jednym morgu siał groch, drugi leżał ugorem. Po trzech latach ozimina, jarzyna i ugór, a w połowie groch wracały na te same pola.

Odmiana płodów w gospodarstwie trzypolowem czyli płodozmian w trzy polowe jest więc następujący.

<table>
<tr><th></th><th colspan="2">1e pole
2 morgi</th><th colspan="2">2e pole
2 morgi</th><th colspan="2">3e pole
2 morgi</th></tr>
<tr><td>1y rok</td><td colspan="2">ozimina</td><td colspan="2">jarzyna</td><td>1 morg
ugor</td><td>1 morg
groch</td></tr>
<tr><td>2i rok</td><td colspan="2">jarzyna</td><td>1 morg
ugor</td><td>1 morg
groch</td><td colspan="2">ozimina</td></tr>
<tr><td>3ci rok</td><td>1 morg
ugor</td><td>1 morg
groch</td><td colspan="2">ozimina</td><td colspan="2">jarzyna</td></tr>
</table>

w czwartym roku, jak już mówiłem, ozimina wraca na pierwsze pole, jarzyna na drugie, groch i ugór na trzecie.

Pan Bóg tak to w naturze urządził, że każda roślina inne z ziemi wyciąga soki, które potrzebne są do jej wzrostu i do wydania ziarna.

Jak koń nie będzie jadł mięsa, a pies owsa choćby im przyszło z głodu zdechnąć, tak samo też zboże szuka w ziemi innych soków, jak ziemniaki, albo rzepak, albo koniczyna. Każdy gospodarz wie o tem bardzo dobrze, że gdyby chciał na kawałku roli ciągle jedno i to samo zboże n. p. pszenicę

zasiewać, to mu się po kilku latach przestanie rodzić Pochodzi to ztąd, że zasiewy w pierwszych latach wyciągnęły z ziemi wszystkie soki potrzebne do wzrostu pszenicy — W ostatnim roku ziarno pszeniczne nie znajduje w roli nic lub bardzo mało potrzebnych dla niego soków, pszenica nie ma pożywienia i musi ginąć. – Gospodarz pewien w Anglii przekonał się o tem naocznie. Siał on na próbę przez 16 lat na tym samym kawałku roli rok w rok żyto. Plon był coraz mniejszy, aż wreście w ostatnim roku nasienie prawie nie zeszło, a to dla tego bo rola nie miała już soków, któreby mogły dać pokarm żytu. W gospodarstwie trzypolowem następuje po oziminie jarzyna. Oba rodzaje zboża biorą z roli prawie te same soki. Wprawdzie w trzecim roku, kiedy pole w połowie ugorem leży, a w połowie pod grochem, zbierają się w roli soki potrzebne do wyżywienia następującej oziminy, a później jarzyny, ale każdy to pojmie, że w jednym roku nie może się tyle uzbierać, by wystarczyło na następujące dwa lata. — Kto rok zbiera, a dwa lata wydaje, prędzej czy później musi zubożeć. Tak samo dzieje się z rolą. — Gdzie przy trzypolnem gospodarstwie jest wiele łąk i pastwisk, tam jeszcze prędzej dobrego urodzaju spodziewać się można. Bydło ma się czem żywić, daje dużo gnoju, a tym gnojem nawożą się znowu pola, i tym sposobem oddaje się roli, choć w części to, co z niej zabrały poprzednie żniwa. Dziś jednak nie tak łatwo o te łąki i pastwiska. Ludność o wiele się pomnożyła, to też nie jednę łąkę i nie jedno pastwisko zorano i zasiano, aby ludzie mieli z czego żyć i nie zaznali głodu. Zaledwie że zostało siana tyle, by w zimie koniom potrząść. Bydło żre samą słomę. Z tej lichej paszy koło wiosny bydło ledwie, że się na nogach trzyma, a gnoju także nie wiele się urobi. Gdzie gnoju mało tam urodzaj ladajaki, o tem wie każdy gospodarz. — W gospodarstwie trzypolowem mamy więc dwie główne wady. Najpierw często powtarzająca się uprawa roślin kłosowych wyczerpuje siły roli tak, że takowa w końcu musi zubożeć. — Dalej gospodarstwo trzypolowe potrzebuje koniecznie łąk. Jeśli nie ma łąk to nie można przy tem gospodarstwie bydła wyżywić, nic można należycie roli wygnoić. Że gospodarstwo z lichem bydłem i bez gnoju nic nie warte, to każdy zrozumie. Uprawa koniczyny i

zaprowadzenie zamiast dotychczasowego gospodarstwa w trzy pola, gospodarstwa wielopolowego usunęło te niedostatki. Rola nie tak łatwo ubożeje, bo raz uprawiana roślina wraca na to samo pole dopiero po kilku latach. Koniczyna dostarcza pod dostatkiem paszy dla bydła, a tem samem gnoju. Wróćmy do danego raz już przykładu. Gospodarz ma 6 morgów. Te 6 morgów podzielił on w trzy pola i uprawiał na pierwszem polu (2 morgi) oziminę, na drugiem (2 morgi) jarzynę, na trzeciem (2 morgi) w połowie groch i w połowie ugór, teraz zaprowadza on wielopolowe gospodarstwo, dzieli każde z tych trzech pól na dwa pola, dostaje więc 6 pól każde po morgu,

dawniej było	1e pole 2 morgi		2e pole 2 morgi		3e pole 2 morgi	
	ozimina		jarzyna		groch	ugor
po podziale będzie.	1 pole 1 morg	2 pole 1 morg	3 pole 1 morg	4 pole 1 morg	5 pole 1 morg	6 pole 1 mórg
rok 1y	jarzyna i kartofle	groch	ugor	koniczyna	ozimina	ozimina z koniczyną
rok 2i	groch	ozimina z koniczyną	ozimina	koniczynny ugor	jarzyna i kartofle	koniczyna
rok 3i	ozimina z koniczyną	koniczyna	jarzyna i kartofle	ozimina	groch	koniczynny ugor
rok 4y	koniczyna	koniczynny ugor	groch	jarzyna i kartofle	ozimina z koniczyną	ozimina
rok 5y	koniczynny ugor	ozimina	ozimina z koniczyną	groch	koniczyna	jarzyna i kartofle
rok 6y	ozimina	jarzyna i kartofle	koniczyna	ozimina z koniczyną	koniczynny ugor	groch
w roku 7 jak w 1szym	jarzyna i kartofle	groch	koniczynny ugor	koniczyna	ozimina	ozimina z koniczyną

tylko że w roku siódmym będzie już po zeszłorocznej koniczynie na 3ciem polu koniczynny ugór, a nie czysty ugór jak

w roku 1 — w roku 8 jest znowu tak samo, jak w roku 2gim, w 9 jak w 3 i tak dalej. —

Gnój wywozić należy w październiku w pole, gdzie ma być groch, a w ugór koniczynny zaraz po ukończeniu zasiewów wiosennych — przytem zważać należy, by gnój nie leżał w kupkach na polu, ale żeby go zaraz rozrzucono. —

Że takie gospodarstwo w sześć pól daleko lepsze jak dawne, na to zdaje mi się każdy się zgodzi. — Co roku jest trzy pól obsianych koniczyną. Na przykład w roku 3cim (patrz tabelkę) jest na polu 1 koniczyna podsiana pod oziminę. Po sprzątnieniu tejże z końcem lipca rośnie ona prędko i daje jeden pokos doskonałego siana, — na polu 2 (rok 3ci) mamy koniczynę w zeszłym roku sianą pod ozíminę, ta daje dwa pokosy siana; na polu 6 wreszcie koniczynę trzyletnią, która do połowy czerwca daje doskonałe pastwisko dla bydła. Raz więc zasiana koniczyna trwa trzy lata, w pierwszych dwóch latach daje nam trzy pokosy, w trzeciem pastwisko. Ta wielka ilość paszy daje znowu wielu gnoju. „Kto smaruje ten jedzie“ mówi dawne przysłowie. Czem smarowidło dla wozu, tem jest gnój dla roli. Kto dobrze rolę nawiezie, będzie miał dobry urodzaj. — Oprócz tego gospodarstwo sześciopolowe tę ma jeszcze zaletę, że w nim na sześć lat trzy razy na tę samą rolę przypada zboże ozime lub jare, kiedy w trzypolowem na trzy lata dwa razy sieje się ozimina i jarzyny na tem samem polu — to też pierwszy sposób gospodarstwa (w sześć pól) mniej rolę niszczy i zuboża jak drugi. W drugim numerze napiszę o sposobach jak uprawiają koniczynę. *A. R.*

Rozmaitości.

— Kto rano wstaje, temu P. Bóg daje. Słyszał to Maciós sierota, którego rodzice na cholerę odumarli, a jako był chłopiec pobożny lecz nie bardzo domyślny, więc począł rano wstawać i chodzić za wieś pod Bożą mękę.

Tam stawał i patrzał w Jezusa ukrzyżowanego czekając, żeby mu co dał ten obraz Boga Syną.

A było mu wiele potrzeba, gdyż nie raz Maciós głodny spać chodził, więc też jeszcze głodniejszy rano wstawał. na nogach już od spozimku nie miał obuwia, a odzież kawatami z niego spadywała. Najgorzej zaś było z bielizną, czyli z koszulą bo tej dawno już mu nikt nie prał. Sierotą zwykle mało kto się zajmuje, a Maciós był u całej wsi na utrzy-

maniu, chodził po kolei jeść co dzień do kogo innego we wsi.

Dzień po dniu, a było to w maju wstawał Maciόś rano, chodził pod Bożą mękę i czekał, żeby mu tam Bóg co dał. Daremnie! Maciόś stał i patrzał na ukrzyżowanego, a wizerunek ani się ruszył, ani spojrzał na niego.

Chłopiec przecież nie ustawał w swojem.

Z czasem jednakże począł z górki na której Boża męka stałą, rozpatrywać się w koło i widział rozmaite ptastwo leśne kąpiące się w jeziorku pod borem. Wzięła go chętka zrobić to samo, więc poszedł i wykąpał, wymył się często, a dostrzegłszy, że koszula brudna. wziął ją we wodę i wyprał jak mógł, co od tąd już co dzień powtarza.

I stało się po niedługim czasie tak, że Maciόś wstawając zawsze bardzo rano, przychodził pod Bożą mękę, tam klękał, zmówiwszy pacierz poczekał i popatrzał trochę, czy nie dostrzeże czego, potem chodził wprost do jeziora, gdzie się mył, kąpał i opierał co dzień.

We wsi nikt na sierotę nie zważał, ale natomiast w lesie. Mieszkał tam stary żołnierz, który jeszcze za pana Tadeusza Kościuszki wojował, a teraz był leśniczym i mieszkał w bliskości owego jeziora za drzewami. Nazywali go starym Maciejem.

Stary Maciej wstawał także bardzo rano i mawiał również: kto rano wstaje, temu P. Bóg daje, ale tego datku Bożego nie wyczekał pod Bożą męką, tylko chodził około bydła, gospodarstwa, pszczelnika, ogródka, a potem albo po lesie chodził i ptastwu się przysłuchiwał, albo siadywał przed domem i patrzał na jezioro i modlił się i myślał o dawnych czasach, o wojenkach i o swojej młodości.

I tak się stało, że stary Maciej spostrzegł Maciosia sierotę.

Zaciekawiony staruszek poszedł raz bliżej, a kiedy chłopiec właśnie był koszulę sobie przesuszył i wziął na siebie, przystąpił do niego i rzekł:

— Zkąd ty jesteś, chłopcze?

— Ze wsi tam! odpowiedział.

— Jak ci imię?

— Macioś Sierota!

— Czemu ty tak rano wstajesz?

— Bo ja chodzę rano do P. Boga tam pod Bożą mękę, żeby mi co dał za to ranne wstawanie, alem jeszcze nigdy nic nie dostał.

— A kto cię nauczył kąpać się tu i prać koszulę?

— To ja sam, bom widział, że się tu ptaki z lasu kąpać przychodzą.

— Pójdź ze mną, Maciosiu! Ja też wstaję rano, a P. Bóg mi za to daje istotnie, dziś dał mi ciebie, i kazał mi, żebym ci dał to i owo.

Poszedł Macioś zadziwiony, zjadł posilne śniadanie razem ze starym Maciejem, dostał czystą koszulę i całą odzież i już do wsi nie wrócił. Stary Maciej wziął go za swoje dziecko i wychowywał starannie. Sam go uczył czytać i pisać, sam katechizmu przesłuchiwał, a później oddał go do miasta do szkoły. Wyrósł z Maciosia sieroty człowiek światły, pracowity i poczciwy, który dziś po śmierci Macieja jest w tem samem miejscu leśniczym i codzień rano wstaje i pod tę samę chodzi Bożą mękę, a często da mu Pan Bóg sposobność do zrobienia komu czego dobrego, jak to dał jego nieboszczkowi przybranemu ojcu.

— Niespodziwany procent. Jakiś prostoduszny chłopek z pod Żółkwi złożył w lwowskiej kasie oszczędności sto zł. reńskich. Z końcem roku zjawił się znowu z pięciu guldenami, które w procencie za swoje sto chciał zapłacić kasie oszczędności. Gdy ich nie tylko nie przyjęto, ale przeciwnie jemu wypłacono z kasy pięć guldenów, o których mu się ani śniło, wyszedłszy z sali rzekł do czekającego nań w przedsionku sąsiada: „Co to za człowiek ten pan przy kasie; przez cały rok pilnował moich pieniędzy, i zapłacił mi jeszcze za to pięć reńskich. To jakiś poczciwy urzędnik!"

— Obchodzenie się z końmi. Przed niedawnym czasem na składzie drzewa przy dworcu kolei żelaznej, byliśmy świadkami ciekawego zdarzenia, dowodzącego wysokiej zmysłowości zwierząt, wywołanej łagodnem i rozsądnem obchodzeniem się z niemi. Ogromny wóz zaprzężony w parę dobrych koni, ładowano polanami drzewa opałowego. Po ułożeniu takowych furman wydał zwykły swój okrzyk *wio!* zachęcający konie do pracy. Jednakże pomimo widocznych wysileń, ruszyć z miejsca nie mogły. Wóz był przeładowany. Woznica zawsze bez pomocy bata, którego nasi furmani tak często bezpotrzebnie używają, głosem tylko ponowił swoje wezwanie; konie jeszcze raz sprobowały ruszyć, ale i to wysilenie ich było bezkuteczne; wóz stał na miejscu jak przykuty. Dalsze wołania woźnicy na nic się już nie przydały, bo konie stały jak najspokojniej, oglądając się tylko każdy ze swej strony na wóz, ale nie probując go nawet pociągnąć. Po krótkiej naradzie z robotnikami, woźnica z ich pomocą ujął z woza część ładunku. Oba konie ciągle z widocznem zajęciem oglądały się po za siebie, a widząc że im ładunhu ulżono, na pierwsze wezwanie swego przewodnika, ruszyły z miejsca i pociągnęły ciężar w głąb miasta.

Z tego faktu można się przekonać, do czego to prowadzi dobre obchodzenie się z pracującem zwierzęciem, które rozumnie prowadzone, umie niemal powiedzieć swemu przewodnikowi, kiedy praca, jaką nań nałożono, przechodzi jego siły. Potępienia godne są w takim razie wszelkie smagania biczem, albo co gorsza drągiem, co nie tylko znarowi zwierzęta na zawsze, ale nabawi je jakiego defektu.

Złote ziarna.

Kto w Bogu ufa, i Boga miłuje,
Na dobrym gruncie, szczęście swe gruntuje.

Kto dla ubogich ma serce wylane
I wspiera biednych, temu Bóg udzielił,
Temu prawdziwe szczęście zachowane,
I ten na wieki będzie się weselił.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza